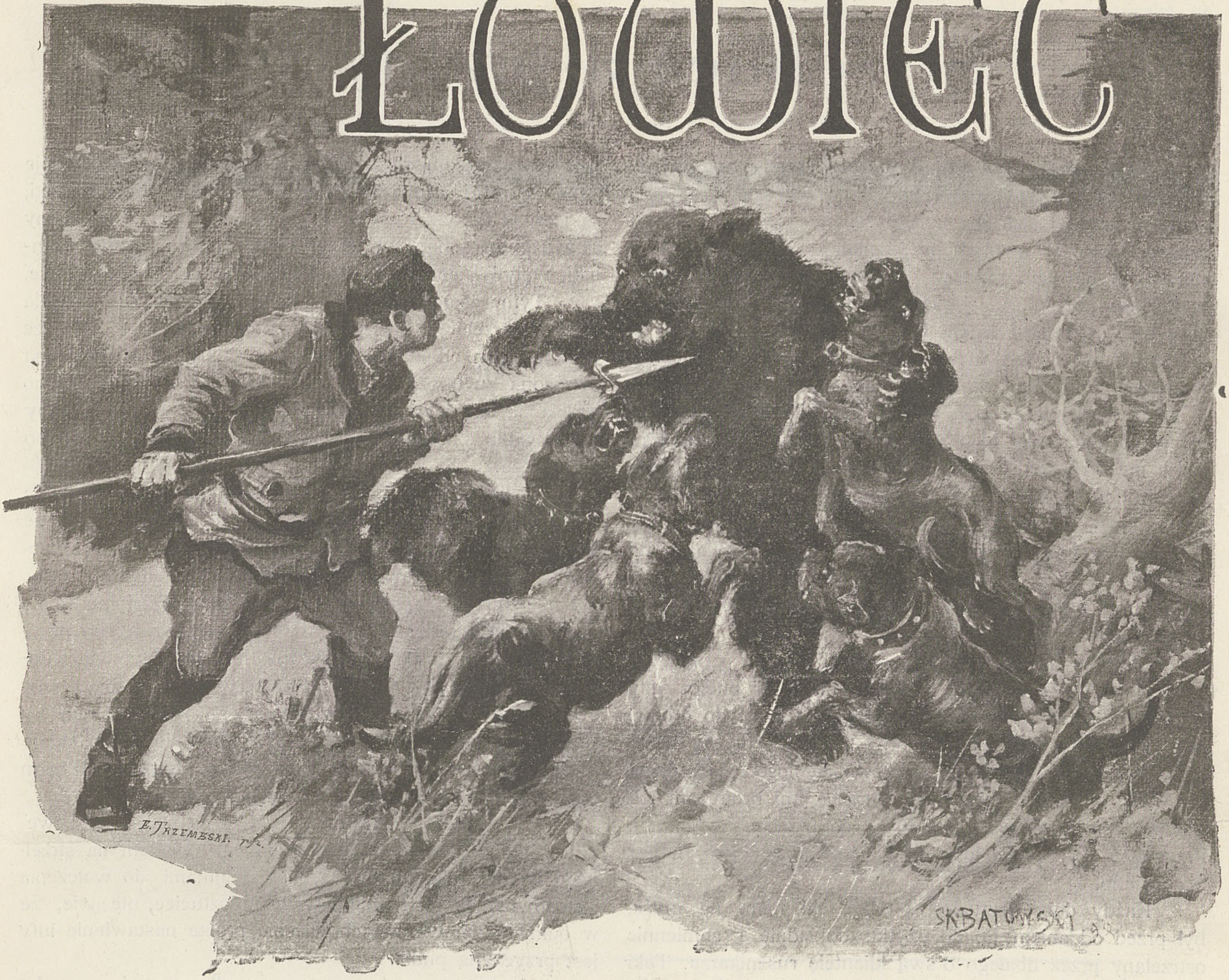
Nr. 10. Lwów, 15 maja 1900. Rok XXIII.

ŁOWIEC



Prenumerata kwartalna: 1 zł. 25 ct., 2 m. 50 f., 1 rs. 25 kop., 3 fr.

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

Wychodzi 1. i 15. każdego miesiąca.

CZWARTY ZJAZD ŁOWIECKI.

Przyszły numer *„Łowca"* przyniesie już dokładne oznaczenie dnia, w którym odbędzie się nasz czwarty zjazd łowiecki.

Że zjazdy te stały się już potrzebą naszego społeczeństwa łowieckiego, nie potrzebujemy udowadniać — że przynosić będą pożytek, tego spodziewać się należy, ale to zależnem jest właśnie od tego, żeby brała w nich udział jak największa liczba łowców, żeby zainteresowanie się nimi stało się ogólne. Nie obawiamy się, żeby nie było na najbliższym zjeździe przedmiotu do obrad — to co na innem miejscu w tym samym numerze podnosimy, zaczyna się stawać tak ważną przeszkodą w rozwoju łowiectwa naszego, że niewątpliwie ta sprawa będzie jedną z najbardziej omawianych spraw na tym zjeździe.

Mamy nadzieję, że dyskusya nad tym tematem i uchwały, jakie poweźmie zgromadzenie nie będą bez dodatniego skutku. Spodziewamy się także, że i sprawa utworzenia związku Towarzystw łowieckich zostanie już na tem zgromadzenin dostatecznie przedyskutowaną i uchwaloną.

Prosimy zatem wszystkich, którym na rozwoju łowiectwa i na rozwoju Towarzystwa zależy, aby na zjazd przybyć raczyli.

Redakcya.

Strzelnica a praktyka.

Ktokolwiek badał dokładnie broń kulową musiał zauważyć, że zawsze a przynajmniej w większej ilości wypadków, rezultat strzałów z tego samego sztućca w domu innym bywa, jak rezultat na strzelnicy; dalej, zauważyć musiał, że ten sam sztuciec, raz najdokładniej ostrzelany, wykazuje później w praktyce nieznaczne przynajmniej zboczenie w umieszczaniu kul i że te zboczenia nie są zawsze te same, lecz owszem różne, bo raz kule zbaczają w prawo od punktu, do którego mierzymy, innym razem w lewo, to znowu padają wyżej, lub niżej celu. Naturalnie są to zboczenia tego rodzaju, że w zwyczajnej praktyce nie wchodzą w rachubę, bo czy dzik, rogacz, lub jeleń trafiony jest o 2 lub 3 centymetry więcej w prawo, lub w lewo, wyżej lub niżej, to nie odgrywa roli i nie robi różnicy przeciętnemu strzelcowi, który strzelając na niewielkie zwykle odległości do tak dużych stworzeń, nie konstatuje nawet zwykle zboczenia i kontent jest, że kula utkwiła w ogóle w zwierzu.

Najlepsi jednak strzelcy kulowi a nie przeciętni, przypomną sobie ze swej praktyki, niejedno pudło, gdy chodziło o strzał do mniejszego celu, jak n. p. do dropia, gęsi, cietrzewia, lub nawet wrony siedzącej na tle nieba i stanowiącej cel doskonały. Przeważna ilość takich pudeł nie może się liczyć na karb ani strzelca, ani broni, ani odległości, ani też małych rozmiarów chybionego przedmiotu. Przyczyna tych pudeł leży po za tem wszystkiem, a jest nią światło.

Każdy dobry sztuciec, a tylko taki mam na myśli, był przed oddaniem go do użytku dokładnie i sumiennie ostrzelany przez dbałego o swą klientelę rusznikarza. Taki sztuciec, przekonaliśmy się o tem sami na strzelnicy, strzela z oparciem prawie kula w kulę i to w ten punkt, w który mierzymy lub w jego najbliższą okolicę. W domu robimy próbę do tarczy. Sztuciec strzela wprawdzie kula koło kuli, lecz konstatujemy, że ma jakieś zboczenie mniejsza o to, w którą stronę. Nazajutrz znowu inne zboczenie, pojutrze strzela w punkt i tak ciągle wahania. Lecz spróbujmy pójść przez parę dni na tę samą strzelnicę, na której sztuciec był ostrzelany i strzelajmy o tej samej godzinie, w której robiliśmy pierwszą próbę, a przekonamy się, że sztuciec strzela znakomicie — i codziennie tak samo.

Powód takiego zachowywania się sztućca, takiego rzec można przywiązania do ojczystej strzelnicy, na której raz pierwszy był ostrzelany, wytłumaczyć łatwo; każdy sztuciec zaopatrzony jest w muszkę z błyszczącego metalu, zwyczajnie białego. Celem tej białej muszki jest, ażeby odcinała się wyraźnie i ostro od ciemnego zwykle przedmiotu, do jakiego strzelamy (zwierzyna). Jeżeli promienie światła padają na tę białą polerowaną muszkę z prawej strony, to przy mierzeniu prawa strona muszki błyszczy się i wydaje się nam znacznie większą od lewej strony, będącej w cieniu. Strona błyszcząca zdaje się nam jakby była napuchniętą, zasłania znacznie większą część przedmiotu, do którego mierzymy, aniżeli strona ciemna, wskutek tego usuwamy mimowoli lufę w lewo i kule też padają w lewo. Odwrotnie się dzieje, gdy słońce pada z lewej strony na muszkę. Słońce wysoko w górze wywołuje strzał za niski, słońce tuż nad horyzontem strzał wysoki, są jeszcze drobne różnice spowodowane tem, czy mamy słońce przez sobą, czy też za sobą. To są wszystko czynniki, wpływające na kierunek strzału kulowego w praktyce.

Tymczasem rusznikarz regulujący sztuciec, strzela albo na strzelnicy, gdzie miejsce dla strzelającego jest ze wszech stron od światła osłonięte a tylko wolną jest strona zwrócona ku tarczy, czyli strzela z rodzaju werandy, albo strzela na strzelnicy wolnej, nie zakrytej, a wtedy ma przy regulowaniu sztućca światło słoneczne po prawej, lub po lewej ręce.

Stosownie do tych warunków rusznikarz reguluje sztuciec dokładnie, lecz nie przychodzi mu na myśl, że jego klient nie będzie w praktyce strzelał zawsze z werandy, albo też z takim właśnie światłem z jakim sztuciec był na strzelnicy regulowanym. Nie przychodzi mu to na myśl, a najczęściej nie wie o tych wpływach, bo przyzwyczajony do praktyki wyłącznie na strzelnicy, wie z doświadczenia, że jest w stanie każdy dobrze wywiercony sztuciec tak uregulować, że na strzelnicy strzelać będzie kula w kulę — i tak uregulowany oddaje z czystem sumieniem klientowi, radząc mu „niech pan tylko prosto nastawi lufę a kula będzie w kuli".

Tymczasem rusznikarz, strzelając na strzelnicy z werandy, albo strzelając z jednostronnem światłem na strzelnicy wolnej, ma tylko z tymi czynnikami do walczenia i stosownie do nich uregulowawszy sztuciec, nie wie, że w odmiennych warunkach właśnie proste nastawienie lufy jest przyczyną pudła.

Wziąwszy w pierwszym wypadku sztuciec regulowany z werandy na strzelnicy, przekonamy się, że sztuciec taki będzie w praktyce źle strzelał, czy to ze światłem z lewej, czy też ze światłem z prawej strony, jeżeli jednak postawimy sobie tarczę przed oknem i przez to otwarte okno strzelać będziemy do tarczy ze środka pokoju, przekonamy się, że sztuciec strzela znakomicie. Bo w głębi pokoju nie będziemy mieli bezpośredniego światła padającego na muszkę i strzelać będziemy w tych warunkach, w jakich sztuciec był regulowany na strzelnicy z werandą.

Jeżeli sztuciec był regulowany przez rusznikarza na strzelnicy odkrytej, a rusznikarz miał światło z prawej strony, to taki sztuciec przy każdym strzale w praktyce ze światłem z lewej, będzie umieszczał kule na prawo od punktu, w który mierzyć będziemy. Ten sam jednak sztuciec strzelać będzie doskonale w praktyce, jeżeli przypadkiem strzelać będziemy z niego ze światłem z prawej strony.

Rzecz cała przedstawi się nam odwrotnie, jeżeli w praktyce będący sztuciec był regulowany ze światłem z lewej strony padającem.

Jednem słowem żaden sztuciec, choćby najdokładniej skonstruowany, nie da się ostrzelać tak, ażeby zawsze przy każdem świetle jednakowo umieszczał kule.

Zupełnie jest zrozumiałem, że kto raz na rok strzela kulą do dzika, ten o tych właściwościach sztućca nie

przekona się nigdy, lecz kto broń kulową nosi codziennie a strzał śrutem uważa, jako *malum necessarium*, ten od sztućca wymaga bardzo dużo i docieka przyczyn wpływających na celność strzału. Nie przekona się o tych właściwościach sztućca i strzelec tarczowy, strzelający do dużej tarczy. Dlatego miarodajnem jest, ażeby kule siedziały w tej dużej, czarnej tarczy, do której strzela, a że raz kule siedzą w prawym brzegu tarczy, a drugi raz w lewym, z tego nie wyciąga wniosków. Ale zamiast strzelania do dużej tarczy, niech weźmie sobie tarczę o średnicy 6—8 ctm., a wtedy zobaczy, ile będzie pudeł. A te drobne różnice spowodowane odmiennem światłem, wystarczą zupełnie do spudłowania koguta na toku, lub jastrzębia na wierzchołku suchego dęba.

Nie przesądzając tu zdania innych, którzy również nie uważają sztućca, jako instrumentu służącego wyłącznie do ubicia grubego zwierza, lecz używają go przy każdej możliwej sposobności, zdaje mi się, żem wskazał dostatecznie na przyczyny, władające kierunkiem strzału kulowego. Przyczyny więc znamy, chodzi teraz o to, czy rozporządzamy środkami, ażeby to przyczyny usunąć.

Robiłem w tej mierze rozliczne doświadczenia i robię je w ciągu tej rozprawki.

Chcąc uniknąć błyszczenia muszki, malowałem ją czarną matową farbą i robiłem nad nią daszek blaszany wewnątrz czarno okopcony, ażeby ochronić muszkę od bezpośredniego działania promieni słońca. Jednakowoż ani jedno, ani drugie stanowczych rezultatów nie dało, a sprowadziło tylko to, że ciemna i zamieniona muszka źle się rysowała na tle, do którego celowałem i utrudniała dokładne wymierzenie. Chwyciłem się więc innego sposobu: zdjąłem daszek z nad muszki i obtarłem farbę, natomiast zrobiłem daszek nad wizyrem, umieszczonym na szynie sztućca i rezultaty otrzymałem zadowalające. Strzelałem z tym daszkiem w różnych światłach i doszedłem do tego wyniku, że daszek jest doskonały, jeżeli strzelający i muszka są w pełnem świetle. Bez względu na to, czy światło wtedy pada z prawej czy z lewej, kule siedzieć będą tam, gdzie się mierzy. Jeżeli jednak strzelamy z daszkiem nad wizyrem a jesteśmy sami w cieniu, to gdy słońce jest po prawej mimo cienia, kule padać będą w prawo, gdy z lewej, kule w lewo; rezultat wprost przeciwny, aniżeli gdy strzelamy bez żadnego daszka. W każdym razie zdaje mi się, że ten daszek nad wizyrem jest znakomitym środkiem pomocniczym w strzelaniu kulami do bardzo małych przedmiotów — nie jestto wprawdzie mój wynalazek, bo widziałem już sztućce z daszkami nad wizyrem, nikt jednak nie umiał mi wytłumaczyć ich celu, dopiero długa praktyka nauczyła mnie cenić taki daszek.

Zastrzegam się raz jeszcze w końcu, że te wszystkie subtelności nie odgrywają roli w zwykłej praktyce łowieckiej. Nikt z takim daszkiem nie będzie strzelał do dzików na linii, ani do jelenia na rykowisku. Na podchodnem jednak, albo przy strzałach do ptaków, gdzie chodzi o trafienie na daleką odległość małego celu, daszek taki oddaje nieocenione usługi dopokąd słońce jest nad horyzontem — i, dodaję wyraźnie, strzelający nie jest ocieniony jakiem domostwem lub drzewami. Kto nie wierzy, niech spróbuje. W końcu zestawiam tu w rodzaju szematu wpływy światła na kierunek kuli, które to wpływy każdy strzelec kulowy powinien wryć sobie w pamięć, jeżeli chce uniknąć często boleśnych pudeł.

Kończę tym szematem moje spostrzeżenie nad bronią kulową. Niech mi czytelnicy wybaczą, że w tej suchej kwestyi zapełniam łamy „*Łowca*", lecz wiem, że między czytelnikami znajdzie się spory zastęp takich, którzy jedynie broń kulową uważają za broń godną prawdziwego łowca Flinta śrótowa, „die Schrotspritze",

Zboczenia kuli przy różnych oświetleniach.

	Słońce z prawej	Słońce z lewej	Słońce wysoko	Słońce nisko
Sztuciec bez daszka nad wizyrem	Kule w lewo	Kule w prawo	Kule w dół	Kule w górę
Sztuciec z daszkiem nad wizyrem, strzelający w świetle.	Niema żadnego zboczenia, kule siedzą tam, gdzie się mierzy.			
Sztuciec z daszkiem nad wizyrem, strzelający w cieniu.	Kule w prawo	Kule w lewo	Bardzo nieznaczne zboczenia	

jak ją z pogardą alpejscy myśliwi nazywają, jest też taką szprycą w całem znaczeniu tego słowa, sikawką strzelającą na bardzo małe odległości, pukawką, na której skutek nigdy liczyć nie można. Każdy sfrzał trafny z broni śrótowej jest rodzajem przypadku, bo nikt obliczyć nie zdoła, jak tam się te śróty rozsypią, nikt nad swojemi śrótami zapanować nie zdoła i nikomu też wyrzutu z pudła śrótowego nie robię. A gdy kto ma pech, to oprócz osobistej (a może dziedzicznej) skłonności do pudeł może się spotkać jeszcze z tem, że jego sikawka, tak posiała śróty, że akurat w około ptaka lub zająca, który miał być trafionym zrobiło się śliczne okienko, przez które ptak zdrów wyfrunął, a zając strzelcowi wesoło nakiwał omykiem. Rzeczywiście robi się śrótem czasem pudło niepojęte, bo strzał trafny śrótem nie jest rezultatem kombinacyi i obliczenia, lecz powtarzam raz jeszcze, jest wynikiem tylko czystego przypadku, a że ten przypadek powtarza się często, zawdzięczamy, że taka śrótowa sikawka sieje odrazu kilkadziesiąt ziarn ołowianych, śmierć niosących, więc tam przecież przypadkiem jedno lub kilka zwierza ugodzi. Inna rzecz z bronią kulową. Każdy sztuciec jest dokładnym instrumentem, tu mnie nie krępuje odległość, tu nie ma żadnych okienek, przez które zwierz mógłby się wymknąć, jeżeli tylko strzelający jest ze swą bronią dokładnie obznajomiony i umie ją w różnych zmiennych okolicznościach w praktyce łowieckiej zastosować. Tu każdy strzał jest wynikiem ścisłej kombinacyi, tu strzelec panuje w pełni nad pociskiem i kieruje dowolnie jego biegiem. Naturalnie, że zupełne opanowanie swojej broni kulowej nie każdemu się udaje, a zawsze jest wynikiem długoletniej praktyki i poznania teoryi strzału kulowego — jest rodzajem artyzmu, na który nie stać każdego, kto sztuciec nosi. U nas w kraju, zamiłowanie do broni kulowej jest bardzo ograniczone, mało kto sztuciec posiada, a jeszcze jest mniej takich, co umią się z sztućcem obejść i wiedzą, co od niego wymagać można. Wyprzedziły nas i pod tym względem obce narody, Bawarczycy, Czesi, Tyrolczycy. Tam w każdym miasteczku, w każdej wsi prawie urządzają częste, prawie co tygodniowe, strzelania popisowe ze sztućców, tam też kształcą się dobrzy strzelcy kulowi. U nas mamy, i to od niedawna, jedno jedyne raz do roku odbywające się i słabo uczęszczane strzelanie popisowe Towarzystwa łowieckiego; liczba też dobrych strzelców kulowych jest u nas bardzo ograniczoną.

Kończę wreszcie te moje spostrzeżenia nad bronią kulową, owoc długoletnich, mozolnych doświadczeń, nie stawiam tu żadnych dogmatów, notuję tylko własne spostrzeżenia, może ktoś znający tę kwestyę gruntowniej odemnie zechce dodać w tej sprawie swoje uwagi i podzieli się niemi z czytelnikami „*Łowca*“.

Jajkowce, dnia 5 maja 1900.

Aleksander Przedrzymirski

WIOSNA.

Minęła mroczna zima. — Z sypialnej komnaty
Wychodzi przebudzona ze snu panna młoda,
W dziewiczych wdzięków kwiecie wiosenna przy-
[roda,
I na weselne gody strojne wdziewa szaty.

A matka ziemia składa posag jej bogaty:
Kobierce dają łąki, srebrne wstęgi woda,
Klejnoty rosa, złoto słoneczna pogoda,
Majowa zieleń gajów kotary, makaty.

Wiosno, oblubienico całego stworzenia,
Krzewicielko miłości, nadziei i wiary!
Ciebie podziwia młody, łzami wita stary,

Bo uroczej młodości budzisz w nim wspomnienia;
Bo mu wieczorem życia świeci myśl radośna,
Że kwitnąć będzie wieczna, lecz gdzieindziej,
[wiosna.

Jan Kornicki.

PSI TALIZMAN.

Gdy ongi Dżengis chan, jako „wielki myśliwy ludzkiego rodu“ wyruszał na czele hord mongolskich, zwanych Tatarami, na upolowanie ludzi, to z reguły nie brał nigdy w rachubę liczby przeciwników, lecz szukał jeno, gdzie oni są, gdyż celem jego wypraw nie było nic innego, jak tylko rabunek i zniszczenie. Wychodząc z tej zasady przejechał się wielki chan po ludach prawie całej Azyi, a jego następcy uczynili to samo i w Europie aż po Olomuniec, zdmuchnąwszy po drodze z przed siebie nietylko wojska Rusinów, ale nawet żelazne zastępy polskiego rycerstwa, o czem świadczy historya.

Gdybym więc tak, jak to projektodawca zawiązania klubu myśliwskiego, szanowny p. Modest Douillet, wspomnieniem o żelaznych husarzach i żelaznych koniach, daje do zrozumienia, zechciał był na wzór Dżengis chana wpaść na jego projekt, to nie przeczę, iż z całego wniosku pozostałoby chyba tylko to, co zostawało po przelocie ludzkiej szarańczy, znanej pod nazwą Tatarów, mianowicie: pustka. Tymczasem nie uczyniłem tego z tej prostej przyczyny, iż taki zamiar w myśli mojej nie powstał i powstać nie mógł, gdyż w zasadzie zawiązaniu się klubu myśliwskiego bynajmniej nie jestem przeciwny, na co dowodem jest okoliczność, że nie godziłem się z projektem tylko co do hodowli i sprzedaży wyżłów.

Dlatego też, pisząc artykuł pod tytułem „Psia inteligencya“ zastrzegłem się na wstępie, że nie czynię tego bynajmniej w chęci krytykowania, lecz korzystając z uprzejmości szanownej redakcyi „*Łowca*“, wypowiadam otwarcie moje zdanie. Wszelakoż nadaremnie, gdyż wyżej pomieniony wnioskodawca, najprawdopodobniej pod wpływem nerwowości, nie uznał za stosowne osądzić z zimną krwią mojego zapatrywania, lecz wskoczywszy niepotrzebnie, a już, co najmniej przedwcześnie, na konika krytyki, wrócił zaraz za „okopy“, aby się „schować przed dalszą polemiką“ i ztamtąd dopiero strzelił zarzutami, których bezpodstawność wykazać rzeczowo uważam za konieczne, tem bardziej, skoro wiem o tem dobrze, że drukowanemu słowu wolno wierzyć, lub nie wierzyć, wolno nawet z umysłu źle rozumieć, ale zaprzeczać prawdzie nie dając dowodów, lub też obcemu zdaniu podsuwać inną myśl, tego już nie wolno, choćby przez wzgląd na to, iż takie postępowanie nie przyczyni się do rozjaśnienia kwestyi.

Wobec tego widzę się, spowodowanym skonstatować, że szanowny p. Douillet, czytając mój artykuł, musiał być w stanie roznerwowania, bo zapomniał widocznie o tem prawidle, że inaczej się rozumie żywe słowo, to znaczy wypowiadane głosem, a znowu inaczej umieszczone w piśmie albo druku, gdzie tonu mowy żadną miarą oddać niepodobna, mimo, iż jeden i ten sam wyraz, różnym tonem wypowiedziany, może stanowić w jednym wypadku żart albo dowcip, w drugim zaś obrazę. Dlatego sądzę,



Wśród ciszy leśnej.

że wszystko, co się czyta, winno być czytane zawsze spokojnie i z uwagą, aby uniknąć niesłusznego imputowania autorowi takich myśli, jakie nim wcale nie kierowały. Jeżeli zaś ktoś czytając drukowane słowo bez głębszego zastanowienia i wniknięcia w intencyę autora cały sens moralny źle rozumie, a mimo to zarzut złego zrozumienia myśli przeciw temu autorowi podnosi, to nie można już nic innego przypuścić, jak tylko to, iż działa pod wpływem uprzedzenia; niechajże więc w takim razie przyjmie wynikające z takiego kroku konsekwencye, gdy powiem,

że sąd mylny i niesprawiedliwy wywołuje zawsze, wrażenie niesmaku.

Czy mam w tym względzie słuszność niechaj osądzą łaskawi czytelnicy sami z tego co poniżej przytaczam.

Szanowny autor korespondencyi: „Jeszcze o psach myśliwskich“, umieszczonej w 6-tym numerze *„Łowca“* z roku bieżącego, zarzuca mi mylne powiedzenie, że rutyny z książki nabyć można i naucza mię słowami: tylko teoryę z książki się nabywa.

Prawda! Przyznaję, że w tym względzie wyraziłem sie niezupełnie jasno, gdyż powinienem był wyłuszczyć rzecz tak, jak p. Douillet się wyraża, całkiem „na rozum“. Stało się to wszakże jedynie z tego powodu, iż nie przypuszczałem, ażeby taka bagatela mogła być przeciw mnie wyzyskaną, zwłaszcza przy tej okoliczności, skoro nikt zaprzeczyć nie może, że rutyna rozwija się u nas wyłącznie na gruncie teoretycznych prawideł, które z reguły są zawarte w książce, z wyjątkiem chyba u ludów nieucywilizowanych i dzikich, dla których teorya w książce wcale nie istnieje, zatem przyjąć można, że teorya i rutyna stoją ze sobą w tak analogicznym związku, jak bracia sjamscy.

Natomiast pozwoli szanowny autor, iż mimo jego oświadczenia, że rutyna i doświadczenie są dla niego pojęciem nierozdzielnem, pozostanę przy mojem pierwotnem pojmowaniu, że to nie jedno i to samo. Na dowód pozwolę sobie przedstawić mój sposób pojmowania przykładowo. Urzędnik, zarówno rządowy, jak prywatny, tudzież zawodowy leśnik, obaj w swoim zawodzie w równym stopniu uzdolnieni, mogą być, bezwątpienia, aż nadto rutynowani, to jest wprawni w zawodowem urzędowaniu, a mimo to nie zawsze doświadczeni, choćby tylko z tego powodu, że ani jednemu ani drugiemu od przepisów zakreślonych dla rutyny pod żadnym pozorem odstąpić nie wolno, podczas gdy doświadczenie nie zna żadnego ograniczenia i może dążyć do celu różnemi drogami, z czego nie trudno nabrać przekonania, że rutyna zmuszona trzymać się w granicach prawideł teoryi pozostanie na zawsze niewolnicą zasady.

Szanowny p. Douillet powiada, że ja radzę „brać psy do tresury co najmniej sześciomiesięczne“. Będąc pewnym, żem podobnej rady nikomu nie podał, zaniepokoiłem się i myślałem w pierwszej chwili, że mi dyablik drukarski wypłatał niewinnego figla, lecz przeczytawszy w *„Łowcu“* po raz drugi mój poprzedni artykuł i nieznalazłszy nigdzie podobnej rady, przyszedłem do przekonania, że nie ja, lecz p. Douillet stał się dwukrotnie ofiarą mylnego pojęcia, raz dlatego, że mojej rady nieprzekraczania w kierunku na dół ostatecznej granicy wieku, jaką oznaczyłem dla psów do tresury brać się mających, bynajmniej nie zrozumiał, a powtóre, iż słów moich: „dlaczego rozciąga czas trwania nauki, aż na dwuletni okres“ zupełnie nie pojął, mimo, iż słowa powyższe określają całkiem jasno, że nie mogłem mieć na myśli nic innego, jak tylko czas do nauki potrzebny. Jednakże nadaremnie! Na nic się nie zdała jasność wyrażenia się z mej strony, gdyż szanowny adwersarz, z niewiadomych mi przyczyn, wziął, według mego zdania całkiem zbytecznie, za podstawę do omówienia wiek psa do tresury przeznaczonego, boć przecież przypuścić należało, iż nietylko ja wiedzieć to powinienem, lecz także każdy myśliwy, dla którego doba polowania na ptactwo nie jest obcą, najniezawodniej będzie o tem wiedział, że pies z wiosennego rzutu nie może przyjść, w celu odbycia praktycznego kursu, prędzej w pierwsze pole, jak po ukończeniu jednego roku wieku. Że ja o tem wiedziałem, to dowodzą moje w poprzedniej korespondencyi skreślone słowa: „najodpowiedniejszym czasem do układania wyżła jest wiek dziewięciu miesięcy (co stwierdza także hr. Sumiński) do roku i więcej“.

Zapytując o przeciąg czasu, potrzebnego do ułożenia wyżła, miałem na myśli tylko takiego psa, który spełnia służbę zwykłego legawca, jako to: wyszukiwanie i wystawianie zwierzyny, tudzież podawanie ubitego ptactwa tak na suchym terenie, jakoteż i z wody, wreszcie wstrzemięźliwość na widok zająca, czyli niegonienie za nim, przeto obstaję przy mojem pierwotnem twierdzeniu, że na przyuczenie wyżła do takiej służby wystarcza mi zawsze czterotygodniowy przeciąg czasu, rozumie się, przy sprzyjających warunkach, jakie stanowią: obfitość ptactwa i zajęcy, oraz odpowiedni teren.

Gdyby więc szanowny p. Douillet odrazu był powiedział w poprzedniej swej korespondencyi, (w ostatniej także nic nie wspomniał), że potrzebuje dwa lata czasu do wytresowania psa przeznaczonego do wszechstronnego użytku, że tak powiem użytkowca, po niemiecku *Gebrauchshund*, to znaczy psa, spełniającego funkcye angielskiego wyżła pointera (wietrzącego górą) retrywera (aportującego na suchym terenie) i spaniela (wypłaszającego i podającego ptactwo z wody) tudzież niemieckiego tropowca i farbowca *(Fährte- und Schweisshund)*, to jest psa, który idzie za postrzeloną zwierzyną, chwyta i zadusza, a następnie aportuje, lub gdy jest za ciężka, pilnuje jej na miejscu, dając znać swemu panu głośnem naszczekiwaniem, nie mniej i takiego, co wysłany na zwiady, wyszukuje ptactwo n. p. kuropatwy, poczem wraca i prowadzi swego pana prosto do miejsca, gdzie kuropatwy się znajdują i t. p. sztuki, to w takim razie pytanie o przeciąg czasu, potrzebny do nauki byłbym uważał, jako zupełnie zbyteczne, gdyż wiedziałem z doświadczenia, że ułożenie do takiej służby mojego własnego wyżła kosztowało mię dwa lata ciężkiej pracy. Tu wszakże wypada mi nadmienić, że zasługa w tym względzie nie leży wyłącznie po stronie mojej, albowiem sposób, jakim wyżła określonych wyżej obowiązków nauczyć można, same psy mi pokazały, jak to następujący przykład w części udowodnić może.

Chodząc po polach ze strzelbą lub bez strzelby często nawet w porze, kiedy ustawa do ptactwa łownego strzelać zabrania, a nie chcąc psa nudzić jednostajnem chodzeniem za nogą, kazałem mu chodzić przed sobą i szukać. Gdy zwierzynę wyszukał i wystawił, to zostawiałem go stojącego w spokoju jakiś czas, mniej więcej kilka minut, poczem podchodziłem i spędzałem zwierzynę sam, lub nie ruszając z miejsca sprowadzałem wyżła za pomocą gwizdawki do nogi. Tak postąpiłem kilkanaście razy, aż razu jednego, polując na przepiórki, puściłem psa przed sobą na jakich 200 kroków. Nie zauważywszy, aby gdzie ślad zwierzyny zamarkował, postanowiłem przejść na drugą stronę jaru, obok którego się znajdowałem w nadziei, iż może po przeciwnej stronie uda mi się prędzej osiągnąć nieco lepszy rezultat.

Wszedłszy w jar o tyle, że tylko głowa moja z jaru wyzierała, obejrzałem się i wtedy dopiero spostrzegłem, że mój wyżeł, stojąc w pozycyi wyprężonej sygnalizował jakąś zwierzynę. Nie chcąc wracać tam, skąd przyszedłem, gwiznąłem, a zobaczywszy, że wyżeł, oglądnąwszy się,

ruszył z miejsca ku mnie cwałem, lecz nie widząc gdzie się skryłem zwolnił bieg i zaczął szukać mojego śladu, postanowiłem obserwować jego ruchy. Z początku szukał widocznie bez planu, ale wkrótce zrobił wielkie koło i wpadłszy na mój ślad, wrócił pędem do mnie, za co naturalnie dostał zasłużoną pochwałę.

Gdym z jaru wyszedł i psu dalej szukać rozkazał, zauważyłem ze zdziwieniem, że wyżeł zamiast chodzić, jak zwyczajnie, przedemną zatoczył koło i wracał do jaru, oglądajac się przytem i dając do poznania, że zamierzył teraz mnie prowadzić. Zaciekawiony tem niezwykłem zachowaniem się wyżła, poszedłem za nim i ku wielkiemu mojemu zadowoleniu skonstatowałem, że pies tą samą drogą, którą do mnie przyszedł, zaprowadził mię do stadka kuropatw. Od tej chwili nie dość na tem, że wyżeł musiał już chodzić na zwiady, ale ponadto nauczył i mnie, w jaki sposób można tej samej sztuki drugiego psa nauczyć.

Po tym może nieco za długim epizodzie wracam znowu do rzeczy.

W jaki sposób szan. p. Douillet wykłada psu przy tresurze pokojowej niesforność, aby za zającem nie gonił, gdy się dostanie w obce ręce, lecz pozostawał nadal na widok zająca, jak Niemcy nazywają *ferm und haasenrein*, tego sam nie powiada, ale za to wysyła pod moim adresem ironiczne niedowierzanie za pomocą słów: „Nie zechce twierdzić p. Kisielewski, że potrafi psu tak wyłożyć „na rozum“ i t. p. Co prawda, trudno jest rzeczywiście wyłożyć cokolwiek na rozum temu, kto na rozum wziąć nie może, więc z tego samego powodu nie wykładam nigdy psu takiej lekcyi, której on zrozumieć nie jest w stanie. Dopiero w miarę rozwoju psiej inteligencyi, gdy pies już całkiem dobrze ze mną się porozumiewa, a ja pewny jestem, że pies to, czego od niego wymagam dokładnie pojmuje, tylko przez upór, lub lekceważenie ściśle nie przestrzega, pokazuję mu jako ostatni warunek posłuszeństwa, talizman jego pod postacią harapa i podporządkowuję go mojej woli do tego stopnia, że robię zeń istną figurkę mechaniczną, która wyłącznie za pośrednictwem mojej woli odpowiednie ruchy wykonywać może, gdyż samowolne działanie tłumię w samym zarodku, tak, iż prędzej czy później musi pojąć, że chęć jego w przeciwstawieniu do woli mojej musi pozostać ciągle na polu bierności. Jako środek do wymuszenia takiej bierności służą mi krótkie, rozkazującym tonem wymawiane słowa: naprzód! pójdź dalej lekko! nazad! i do nogi! a w razie nieposłuszeństwa kara.

Ponadto potęguję narzuconą psu zapomocą mojej woli wstrzemięźliwość przeciw naturalnemu pociągowi do gonienia za zającem przez to, że psu, będącemu w pierwszem polu, szczególnie w wieku niżej roku, nie każę nigdy aportować zastrzelonego zająca, chociażby tylko przez wzgląd na nierozwinięte jeszcze zupełnie siły fizyczne, gdyż przekonałem się, że pies taki, nie mogąc wziąć zająca w pół i dźwignąć z łatwością, chwyta za skórę i ciągnie po ziemi, a gdy skóra się przerwie, bierze w drugiem miejscu i drze dalej, a przez to otwiera sobie najprostszą drogę do wykształcenia się na skończonego „rozpruwacza“.

Jedynie tylko pies silnie zbudowany i zupełnie rozwinięty, a ponadto obdarzony od matki przyrody odpowiednio długim i szeroko roztwierającym się pochwytem może być, bez narażenia się na zawód, z dobrym skutkiem użyty do przynoszenia zająca, nawet z odległości kilkuset kroków. Przez to, że młodemu psu zająca aportować nie każę i przy każdem ruszeniu go wołam na psa „pfuj“, wpajam w niego pojęcie, jakoby zając nie przedstawiał dla mnie żadnego interesu i dochodzę do rezultatu, że pies ruszonego i pomykającego zająca najzupełniej ignoruje, lub też staje i przez chwilkę prowadzi go oczami, a potem ogląda się i zapytuje mię wzrokiem, co ma dalej robić. Są jeszcze inne sposoby nauczania wyżła wstrzemięźliwości na widok zająca, jednak ja przyjąłem wyżej opisany głównie z tego względu, że mnie i wyżła najmniej pracy kosztuje.

C. d. n.

S. Kisielewski.

„ROK MYŚLIWCA“

Wincentego Pola z rysunkami Juliusza Kossaka.

Już łąki umajone, zagajony las! Wszystko w pełnym wzroście i pędzie, a po części już okwitłe lub w kwiecie; wszystko oddycha pełnem życiem: w ziemi i w wodach, nad ziemią i na wodach, nad wodami i na błotach, na łąkach i polach, na błoniu, lesie i w powietrzu. Wszystko żyje rozkoszą słońca i wiosennego powietrza oddechem, które potęgą płodnych grzmotów i błyskawic oczyszczone, ciepłemi odkropione deszczami, odzyskało swą wonną sprężystość i ożywczą moc.

Wiosna, wiosna! maj, maj! powtarza sobie każdy, a dwa przysłowia ludu i stara pieśń słowiańska, aż dotąd w uściech ludu żyjąca, do bogini Maji, oddaje najwłaściwiej te pociechy i pragnienia prostego serca na wiosnę:

„Na świętego Wojciecha
W polu pociecha!“

„Święty Stanisław
Kłósko wystaw!“

Tak wzywa lud patronów tej ziemi, a rozmarzony urokiem wiosny, powtarza starą pieśń:

,,Maju gaju!
Gaju maju!
Maju raju!
Daju! daju!“

Jakoż kwitną już prawie wszystkie krzewy i drzewa i okrywają się liściem; z drzew leśnych kwitnie: dąb, buk i grab, brzoza, klon wielki i mały drobrolistny, głóg biały i owocowy, bez, z szyszkowych: sosna, jodła, świerk, cis i jałowiec, a brzost, osika i wierzba roni już dojrzałe owoce i puchy, które na namuły spadając, dorazu się kulczą, z drzew owocowych i sadowych kwitną wszystkie, które jeszcze w końcu kwietnia nie okwitły.

Mlekiem kwiatu oblane sady i futory, odbijające żywo i zdaleka już od świeżej zieloności krzewów i drzew, to widok natury na maj; ale głosu natury trudno tu już oznaczyć, bo jak się zieloność cieniuje, stopniuje i spotęża, od wątłej papuziej barwy począwszy, aż do ciemnozielonej i zielono-czerwono-brunatnej, tak od brzęku cichego muszki i grania komara, od brzęku skrzydeł chrząszcza, aż do wachlowania skrzydeł wodnego ptactwa i podniosłego głosu żórawia w obłokach — stopniują i spotężają się tu głosy owadów i śpiewy ptaków, strojąc się w jeden chór wielki, któryby chyba „głosem wiosny“ nazwać można.

Trudno skąpanemu w tem morzu tylu odcieni i fal tęczy, głosów i woni, pojąć się i zrozumieć do razu. Na trzy zmysły uderza tu natura potężnie, całym urokiem swego czarodziejstwa; ztąd też odurza to wrażenie pierwszych dni rozwiniętej wiosny duszę, i powoli tylko można sobie z niego zdać sprawę, odzyskać rozkosz pojedynczych wrażeń i piękności natury.

Chór wiosennych śpiewaków nabiera pełności, miękkości i całkowitej harmonii dopiero z przybyciem ostatnich gajówek, z któremi się co do czasu trzyma i przepiórka, później jeszcze od jaskółki wracająca z cieplic.

Wszakże gdy już jaskółka ogrzane wody muśnie, gdy się od łąki chrapliwy chruściel odezwie, gdy przepiórka w zielonem zbożu, które już w kolanko strzela, zawabi, a słowik w wonnych krzewach zaśpiewa: to dopiero wiosna prawdziwa!

Na przehalinach jezior i halawach stawów, gwarzy już od świtu wodne ptactwo; zdaleka od brzegów i grobel roi i czerni się gwarliwa rzesza stadami; jak błyska wica łyska koza i nurek do słońca; w stadzie hałaszą kaczory; z oczeretów podrywają się ponad gniazdami cyranki, gdy się wodny orzeł lub sokół nad wodami zważy. Zdala od tej wrzawy siadają samotnie na nieprzystępnej wierzchowinie stróżliwe czaple, a bąk wodny huka po trzcinach, niewidziany, ale głośniejszy od wszelkiej wodnej ptaszki, i chyba tylko radosne kruczenie żurawi, gdy na nieprzystępnych leśnych błotach pod wieczór rozpoczną swój taniec, rozlega się tak szeroko po zapadłej okolicy, jak hukanie wodnego bąka wieczorem i nocą, szczególniej z wielkiej bardzo odległości słyszane.

Wdzięczni śpiewacy skupiają się około sadyb w tym czasie, po sadach i krzewach, po przylaskach i łozach; ale pełnym chórem grzmi dopiero las, i jest tu kilka podnioślejszych, odrębnych głosów, które górują nad całą harmonią wiosennego śpiewu. Kraniec lasu opędza dudek, stawiając co chwila czub strojny i huda z wysoka; kukułka zaleca się do gniazd drobnej ptaszki i kuka; czasem zakuje w przestankach dzięcioł lub kowalik, a wilga pogwizduje tak głośno, że wszelkie inne ptactwo w jej bliskości cichnie. Dodajmy do tego chóru jeszcze głos jeden, głos słowika od gęstwin i skowronka, teraz już powszedni, z nad skiby rolnika, — a będziemy mieli całą harmonię głosu natury na wiosnę.

Ledwo w samo południe jest taka chwila, że wszelka ptaszka znużona cichnie i usypia na chwilę; ale wieczorem nie ustają głosy natury, bo gdy śpiew ptaków w wieczór cichnie, poczyna się nieszporne grzechotanie żabek, nocne hukanie bąka, brzęczenie chrząszczy w ogrzanem powietrzu i pieśń nocna słowika, a w lesie huczą sowy i jęczą puhacze, czasem nawet zakuka zbudzona kukułka, choć jeszcze daleko do świtu.

Ktoby w tym czasie polował? Nawet najzapaleńszy myśliwy bierze tylko ze zwyczaju strzelbę na plecy, idąc na pola lub w lasy, i raduje się raczej tylko obyczajem wszelkiej ptaszki i wszelkiego zwierzątka, a ma nawet jakiś przyrodzony wstręt do strzału. Więc do czego ta strzelba? pytałem nieraz. Człek bez strzelby głupi, była odpowiedź; a zresztą zdarzały się już wypadki, że ktoś na fjołki wyszedł z pannami i wypłoszył wilka z fiołków, że ktoś inny wyszedł na krzyki i nakrył niedźwiedzia rozjadem. Cóż na to powiedzieć? Czy kłamią może? A Boże broń! nie kłamią, bo i jakby mogli ci skłamać, co nigdy nie powiedzą prawdy!?

Wszakże gdyby ktoś był ciekawym, co się w tym czasie z remanentem myśliwego czyni, to powiemy mu: że odyńce, takroczne warchlaki i jałowe lochy, trzymają się stadem, a stare samury mają już moręgowate prosięta i ryją po sołotwinach za słodyczką. Jelenia swędzą jeszcze rogi, więc czemcha łyko i odbija się od stada. Daniele i sarny wychodzą na paszniste, rzadsze lasy. Cielne łanie i sarny szukają samotnych polan i źródeł. Zające lęgną się w zbożach. Liszka wywodzi młode z jamy i poczyna je zaprawiać do łupu, a borsuk leży z młodemi przed jamą i wygrzewa je do słońca. Młode wewiórki wychylają się już z gniazda nieśmiało i nikną w niem za lada szelestem. Na upartego można strzelić do rogacza lub kozła dla kuchni i brać przepiórki na siatki.

Drapieżne ptactwo siedzi na jajach, albo wywodzi już młode. Toż samo siedzą leśne kury na gnieździe.

,,I jest przymierza chwila — i pokoju!“



W sprawie traktowania kłusowników przez władze.

Obok rzadkich wiadomości o, niestety, tylko sporadycznej energii władz przy wykonaniu nowej ustawy łowieckiej — mnożą się, coraz częściej skargi na ogólną tych władz apatyę — świadczącą o zupełnej obojętności dla interesów łowiectwa — zasługującego równie dobrze, jak inne działy gospodarstwa na ochronę, — i, powiedzmy odrazu o niedokładnej znajomości ustawy łowieckiej.

Redakcya „*Łowca*“ otrzymuje co chwila liczne rekryminacye na taką obojętność lub nieznajomość ustawy ze strony władz — i to zażalenia pochodzące ze źródeł absolutnie wiarygodnych przy naprowadzeniu faktów, popartych datami i liczbami rozporządzeń odnośnych Starostw, a fakta te są tak jaskrawe i obojętność władz tak widocznie wzrasta, że stało się koniecznością w interesie łowiectwa zainicyować akcyę na szersze rozmiany, i na podstawie faktów już zebranych i tych, które łatwo zebrać się dadzą — udać się z przedstawieniem obecnego stanu rzeczy z zażaleniem do c. k. Namiestnictwa i do Prezydyum c. k. wyższego Sądu krajowego.

Nie mogąc przypuścić nieznajomości ustawy łowieckiej, tylko chyba chęci pozbycia się niewygodnej czynności urzędowej można przypisać, coraz modniejszy i częstszy proceder, przy którym c. k. Starostwa uznają się niekompetentnemi do załatwienia zażaleń na przekroczenie ustawy łowieckiej — i wszelkie takie zażalenia odstępują Sądom do załatwienia.. Mamy przed sobą orzeczenie jednego ze Starostw w zachodniej Galicyi, w którem dla uzasadnienia „niekompetencyi“ w pewnym danym wypadku wypowiedziano zasadę, że: c. k. Starostwo powo„łanem jest tylko do dochodzenia i ukarania: a) w myśl „§ 36. patentu o broni z r. 1852 za noszenie broni przez „osoby nie posiadające kart na broń; — b) w myśl „§ 73. ustawy łowieckiej z r. 1897 za przekroczenie „zakazu zawartego w § 38. tejże ustawy t. j. za cho„dzenie z bronią po okręgu polowania bez zezwolenia „uprawnionego“. Natomiast o kartach myśliwskich n. p. to Starostwo nie wspomina — zna ono tylko karty na broń. I to ma być znajomość ustawy łowieckiej? Wedle §. 67. ustawy łowieckiej należy wykonanie tej ustawy („*die Handhabung*“) jedynie i wyłącznie do kompetencyi politycznej Władzy powiatowej względnie Namiestnictwa. Wedle § 73. ust. łow. mają być wszystkie przekroczenia tej ustawy karane przez polityczną Władzę powiatową z jedynym wyjątkiem czynów podpadających pod przepisy ustawy karnej (kompetencya Sądu).

Kompetencya zatem Władzy politycznej nie ogranicza się „do punktów a) i b)“, ale do wszystkich przekroczeń ustawy łowieckiej — jest regułą — kompetencya sądowa wyjątkiem.

Najczęstszym a najdrastyczniejszym wypadkiem przekroczenia ustawy łowieckiej jest „kłusownictwo“.

Powszechnem a mylnem jest identyfikowanie „kłusownictwa“ z „kradzieżą zwierzyny“ — i w tem identyfikowaniu leży błąd w ocenieniu własnej kompetencyi ze strony władz politycznych. Kłusownictwem jest nieprawne polowanie względnie łowienie zwierząt łownych z cudzego terytoryum łowieckiego.

Kłusownikiem jest każdy, kto poluje bez pozwolenia na obcem terytoryum, tropi zwierzynę, łowi lub strzela, bez względu na to, czy coś złowi lub zastrzeli, bo zabiwszy może zwierzynę zostawić lub odesłać właścicielowi, złodziejem jest tylko ten, kto zabiera złowioną lub zastrzeloną cudzą zwierzynę — i w tem tkwi kryterium kompetencyi władzy politycznej a władzy Sądowej — i tej właśnie różnicy nie widzą i nie uznają z reguły władze polityczne.

Przedmiotem zażaleń, które Redakcya „*Łowca*“ utrzymuje, są przeważnie wypadki, w których Starostwa wszystkie doniesienia o kłusownictwie odstępują Sądom, niebadając wcale, czy w danym wypadku jest czyn karygodny według ustawy karnej, czy miała miejsce kradzież zwierzyny.

Uprawniony do polowania, po długich bezskutecznych usiłowaniach, chwyta nareszcie na swojem terytoryum kłusownika ze strzelbą w ręku — słyszano przed chwilą strzał, strzelba świeżo wystrzelona — przy kłusowniku niema ubitej zwierzyny, nie wiadomo do czego strzelał. Doniesienie do Starostwa — Starostwo uznaje się niekompetentnem, odstępuje sprawę Sądowi. Sędzia bada fakt, szuka za dowodem popełnionej lub usiłowanej kradzieży zwierzyny. Dowodu niema, kłusownik przeczy, nie wiadomo czem strzelał (może tylko prochem), nie wiadomo do czego strzelał, może strzelił w powietrze, lub strzelba sama wypaliła — i w rezultacie przy najlepszych chęciach musi sędzia wydać wyrok uwalniający — a kłusownik wraca do domu zachęcony do dalszych eksperymentów ze strzelbą. A przecie to typowy wypadek kłusownictwa, nie ma i nie było stwierdzonego czynu z ustawy karnej, ale zupełne pewne przekroczenie ustawy łowieckiej.

Przykład powyższy autentyczny, a przytem kwestya kompetencyi wyjaśniona.

Znaczna część zażaleń zwraca się przeciw orzeczeniom Sądów w tych wypadkach, gdzie czyn karygodny n. p. kradzież zwierzyny stwierdzona i udowodniona. Wydawane bywają w takich razach, choć nie zawsze, wyroki zasądzające, ale kary nie stoją w żadnym stosunku z przewinieniem. Złowienie i zabranie zająca karane bywa aresztem przez 24 lub nawet 12 godzin. Świadczą takie kary o zupełnej nieznajomości stosunków — zamiast naprawiać krzewią tylko zło, a świadczą także o nienależytem pojmowaniu ustawy karnej i celu kary.

Można śmiało twierdzić, że przy najściślejszym nadzorze zaledwie dziesiątego lub dwudziestego złodzieja zwierzyny udaje się schwytać na gorącym uczynku i fakt kradzieży należycie wedle wymagań procedury, wobec Sądu udowodnić. Taki szczęśliwie schwytany kłusownik, ma na ramieniu pewnie dziesięć lub znacznie więcej faktów, poprzednio dokonanych, a nieudowodnionych kradzieży. Sędzia zasądza go na 24 godzin aresztu, chyba po to, by go o zupełnej bezkarności upewnić, bo wszystkim nieschwytanym kłusownikom i temuż samemu ukaranemu opłaci się dalej kraść zwierzynę — skoro za dziesięć zjedzonych lub sprzedanych zajęcy, czeka go kara 24 godzin aresztu w doskonałym lokalu i przy bardzo dobrym wikcie rządowym.

Tkwi w takich wyrokach także i zasadniczo błędne pojmowanie ustawy karnej. Zna ustawa surowe kary za nałóg, za recydywizm. Sędzia ma obowiazek badać motywa czynu i w granicach ustawy taką karę wymierzyć, by ona była odstraszeniem na przyszłość i otrzeźwieniem spaczonego ducha, a niema chyba więcej nałogowych recydywistów, bardziej rafinowanych i zuchwałych przestępców, jak kłusownicy. Nadmieniono u wstępu, że już sama ilość zażaleń i fakta naprowadzone zniewalają do wdrożenia akcyi zaradczej na szersze rozmiary — stąd też nie może Redakcya „*Łowca*“ umieścić wszystkich otrzymanych na ten temat korespondencyi — zastrzega sobie jednak spożytkowanie naprowadzonych w korespondencyach faktów. Ponieważ sprawa ta będzie traktowaną na najbliższem posiedzeniu Wydziału Towarzystwa, a jest dla łowiectwa pierwszorzędnej wagi — przeto zwraca się niniejszem Redakcya do wszystkich pp. Delegatów Towarzystwa i do wszystkich czytelników „*Łowca*“ z usilną prośbą o nadesłanie krótkich opisów faktów, uchylania się władz politycznych od orzekania w sprawach wykonywania łowiectwa dotyczących, względnie niewłaściwego wykonywania ustawy przez władze polityczne, możliwie z podaniem dat i liczb odnośnych orzeczeń, a nadto o podanie do wiadomości Redakcyi faktów podobnych wyroków sądowych jak te, o których powyżej ogólnikowo wspomniano, również możliwie z podaniem dat i liczb sądowych.

Sprawa jest bardzo pilna i bardzo ważna.

Z Kałusza donoszą nam, że dzięki energicznemu postępowaniu p. Starosty Bukowczyka kłusownictwo coraz więcej upada. Oprócz tego, że kłusownicy, jak n. p. w ostatnich czasach trzech głównych z Nowicy, odpowiedniej ulegają karze, wydał p. Starosta okólnik do gmin, aby same śledziły swoich kłusowników i donosiły starostwu.

Bardzo nam przyjemnie, że możemy podać te fakta do wiadomości naszych czytelników.

Redakcya.

Purun Bhagat i jego cuda.

(Dowolny przekład z angielskiego)

Prawie wszyscy pustelnicy i święci mężowie, żyjący zdala od wielkich miast, mają opinię czynienia cudów z dzikiemi zwierzętami; ale cuda te, to tylko spokój i powaga w zachowaniu się, pewność siebie i powolność w ruchach, — wreszcie siła wzroku, który przynajmniej z początku, powinien unikać spotkania się wprost ze wzrokiem zwierzęcia.

W ten sposób postępował Sir Purun Dass, kiedy po przejściu wszystkich stopni w służbie rządowej jednego z nawpół niepodległych państewek Indyi wschodnich i dostąpiwszy godności pierwszego ministra w kraju, nagle porzucił wszystkie honory i zaszczyty, tak jak się rzuca płaszcz, którego się już więcej nie potrzebuje, a sam przybrawszy na się suknię pustelnika szedł w niedostępne wyżyny, szukać spokoju w swych rozmyślaniach.

Ze skórą antylopy na ramieniu i dzbanem o mosiężnem uchu pod pachą, dążył szlakiem Himalaya-Tybet; traktem wąskim, wybitym w jednolitej skale, to znów pnącym się po kłodach drzew ponad głębokiemi przepaściami. Nocą, kiedy go obejmowały ciemności, rozciągał skórę antylopy w jakim przydrożnym monasterze „świętych mężów“, lub też na krańcach wioski, a czasem na wyniosłościach suchych pastwistk, gdzie płomień jego ogniska rozbudzał leniwe wielbłądy.

Kiedy się po raz pierwszy zatrzymał, gwar świata dochodził jeszcze jego uszu tak, jak ten szum co po przejściu pociągu w tunelu pozostaje jeszcze na chwilę — ale kiedy minął już przesmyk Muthanee, wtedy się już wszystko skończyło, a Purun Bhagat, jak się teraz jako święty i pustelnik sam nazywał, pozostał sam jeden ze sobą — z oczyma w dół spuszczonemi, a myślami w obłokach.

Tak doszedł do linii szczytów śnieżnych, do gór niebotycznych, zamykających horyzonty, u stóp których rozciągały się ciemne lasy deodaru, orzechów i dzikich drzew czereśni — ale przedewszystkiem deodaru, tego cedru Himalajów. Tuż obok przesmyka, wijącego się śród tych gór i lasów, stała opuszczona kaplica Kala.

Purun Bhagat zamiótł czysto kamienną podłogę, zrobił z gliny sam małe palowisko, rozciągnął skórę antylopy na posłaniu ze świeżych szpilek sosnowych i usiadł, aby odpocząć.

Dzień ten był końcem wędrówki Purun Bhagata. Przyszedł do miejsca upragnionego przez siebie już zdawna, do miejsca spokoju i samotnych rozmyślań Odtąd czas przestał dlań istnieć, a on siedząc u wrót kaplicy, sam już nie mógł powiedzieć, żyw li jest czy umarły; człowiekiem świadomym swych członków ciała, czy też częścią skały, czy obłoków, zmiennego deszczu, czy promieni słońca.

Ale w Indyi, póki jest okruszyna chleba do podzielenia się, żaden żebrak ni pustelnik z głodu nie zginął — i jak tylko w pobliskiej wsi, dostrzeżono dym wydobywający się z kaplicy Kala, zaraz wyruszył z tamtąd kapłan, by powitać pustelnika i o jego potrzeby zapytać; ludność bowiem indyjska ceni i uważa sobie za wielkie szczęście, jeżeli może utrzymać w pobliżu tak wielkiego świętego, za jakiego Purun Bhagata od pierwszego wejrzenia uznano.

Pożywienie w górach jest zwykle bardzo proste, ale z pszenicy i indyjskiego żyta, z ryżu i pieprzu czerwonego, — z drobnych ryb z potoków, — z miodu i suszonych owoców, — wreszcie z dzikiego imbieru i mąki grochowej, — pobożna kobieta indyjska umie przyrządzić dobre rzeczy, to też co rana pełną miskę jadła stawiano ukradkiem przy rozstajnych drogach poza kaplicą.

Czasami przynosił ją kapłan, czasami handlarz Ladakhi, mieszkający we wsi, pragnąc mieć zasługę piął się ścieżką w górę; ale najczęściej była to kobieta ta sama, co przygotowywała potrawę wieczór przedtem. Czasem znów jakiemuś śmielszemu dziecku przyznawano ten zaszczyt, a Purun Bhagat wtedy słyszał, jak stawiało misę i uciekało tak szybko, jak tylko jego małe nogi nieść je mogły; Purun Bhagat nie schodził do wsi nigdy.

Ta rozpościerała się u stóp jego niby jaka karta geograficzna. Widywał zebrania wieczorne, odbywające się w obrębie toków, bo były to jedyne miejsca równe, oglądał przedziwną zieleń młodego ryżu i błękit indyjskiego żyta, łany pszenicy a w swej porze znów czerwone kwiecie amarantu, którego nasienie nie będąc ani ziarnem ani strąkiem dawało potrawę dozwoloną Hindusowi nawet w czasie postu.

Podczas zmiany roku kominy chat wyglądały jakby bryły czystego złota, gdyż na nie składano kłosy zboża, aby wyschło.

Praca około pasiek, zbiory w polu, siejba i młócenie ryżu, wszystko to przesuwało się przed jego oczyma, wszystko haftowało się tam w dole po rozmaitego kształtu polach, a on rozmyślał o tem i dziwił się tej skrzętnej pracy.

Ale w tym kraju dopiero się zaludniającym, człowiek nie ma jednego dnia spokoju od dzikich zwierząt; przebiegają one w około niego i ponad nim, jak gdyby był kamieniem; a w tej puszczy dzikie zwierzęta, znające dokaplicę Kala przybyły rychło, aby się przypatrzeć intruzowi. Langury, te wielkie brodate małpy Himalajów, były naturalnie pierwszemi, jako żywe i ciekawe, a kiedy wywróciwszy misę toczyły ją po podłodze, próbowały swych zębów na mosiężnouchym dzbanie i stroiły miny do skóry antylopy, zadecydowały, iż ta ludzka istota, siedząca mimo wszystkiego tak spokojnie, musi być nieszkodliwa. Zeskakiwały też wieczorem zę sosen i prosiły rękoma o coś do jedzenia a otrzymawszy, wspinały się w zgrabnych skokach znowu na drzewa. Lubiły też ciepło ogniska i tak się w koło niego cisnęły, że Purun Bhagat, chcąc więcej paliwa dorzucić, musiał je odpędzać; rankiem zaś często gęsto zdarzało mu się znaleść kudłatą małpę, dzielącą się z nim jego derką. Przez cały dzień zaś, to ta, to znów inna z gromady siadywała przy jego boku zapatrzona w śniegi, skomląc i spoglądając niewymownie mądrze i poważnie.

Za małpami przyszedł barasingh, wielki jeleń, podobny do naszego, lecz o wiele silniejszy. Chciał otrzeć delikatną, aksamitną powłokę swych rogów o zimny kamień posągu Kala i przystanął nagle, spostrzegłszy człowieka w kaplicy. Ale Purun Bhagat nie poruszył się i tak pomału królewski jeleń przybliżył się i dotknął nosem jego pleców. Purun Bhagat przesunął zimną rękę wzdłuż ciepłych rogów, a dotknięcie to działało uspokajająco na rozdrażnione zwierzę; schyliwszy głowę pozwalało Bhagatowi pocierać i rozczesywać sierć miękką. Następnie barasingh przyprowadził swą łanię i młode; miłe te stworzenia pomrukiwały, siedząc na derce świętego męża, lub znów przychodził w nocy sam jeden z oczyma zielonemi w blasku płomienia, aby zabrać swoją część świeżych orzechów.

Na koniec i bizam, ten najpłochliwszy i najmniejszy z gatunku jeleni, przychodził także, nastawiając sterczące królicze swe uszy, a i centkowany, spokojny muskichnabha chcąc się przekonać, co światło w kaplicy ma znaczyć, wsunął swój łosiowaty pyszczek aż w zanadrze Purun Bhagata, zbliżając się i uciekając wraz z cieniem ogniska. Purun Bhagat nazywał ich wszystkich „moi bracia“, a jego ciche nawoływanie przyciągało ich nawet w samo południe, jeśli się tylko znajdywali w obrębie, dokąd ten głos dochodził.

Himalajski niedźwiedź czarny, zgryźliwy i niedowierzający, Sona, z białym znakiem pod brodą, przechodził często tą drogą, a kiedy Bhagat nie okazywał trwogi, Sona nie okazywał gniewu, lecz przyglądał się mu i podchodził coraz bliżej i upominał się o trochę pieszczot i kromkę chleba, czy też trochę dzikich jagód. Często o cichym zmroku, kiedy Bhagat wspinał się na właściwy wierzchołek przesmyka, aby się przyglądać wśród śnieżnych szczytów czerwonym blaskom dnia zapadającego, spotykał Sonę pomykającego na tylnych łapach, z mrukiem, i nieraz widział, jak wciskając swą przednią łapę pod powalone pnie, odrzucał je z wybuchem niecierpliwości na bok; innym razem wczesne jego kroki budziły Sonę zwiniętego w kłębek, a wielkie zwierzę zrywało się i prostowało gotowe do walki, póki nie posłyszało głosu Bhagata i nie rozpoznało swego najlepszego przyjaciela.

Mieszkańcy wsi widzieli zarysy barasingha, przesuwającego się niby cień ciemnym lasem poza kaplicą, widzieli minanl'a, himalajskiego bażanta lśniącego swemi najpiękniejszemi barwami przed posągiem Kala i tuż obok langurów bawiących się skorupami orzechów. Co więcej, niektóre z dzieci słyszały z za powalonych skał, Sonę śpiewającego swym niedźwiedzim sposobem, a opinia o Bhagacie jako cudotwórcy utrzymywała się silnie.

A jednak nic nie było dalszem jego zamiarom, jak cuda. W jego pojęciu wszystkie stworzenia były jednym wielkim cudem. Nie było też dla niego nic małem ni wielkiem w wszechświecie, a dniem i nocą myśl jego starała się dotrzeć do samego początku wszechbytu, do tego miejsca, skąd wątek wzięła jego dusza.

Kiedy tak przemyśliwał, włosy jego niestrzyżone spadały mu już aż na plecy, a płyta kamienna obok skóry antylopy wydrążyła się w jamkę od stopy jego dzbana, a w miejscu pomiędzy pniami, gdzie codziennie stawiał swą misę żebraczą, powstało wydrążenie wytarte i gładkie, a każde zwierzę znało już dobrze swe miejsca przy ognisku.

Pola zmieniały swe barwy wraz z porami roku; toki raz pełne, to znów puste i znów pełne i tak ciągle; i zawsze a zawsze z nadejściem zimy skakały samotne langury pośród gałęzi, strojnych białym śniegiem, gdyż dopiero wiosną małpy-matki przynosiły swe młode z cieplejszych dolin. We wiosce również zmian mało. Kapłan postarzał się, a wiele małych dzieci, które zwykły były przychodzić z misą żebraczą, posyłało teraz swe własne dzieci, a gdybyście spytali mieszkańców wioski, jak długo żył ich „święty“ tam w kaplicy Kala na szczycie przesmyku, odpowiedziliby: „Zawsze!“

Aż nadeszły deszcze letnie, jakich nie pamiętano w górach od lat wielu. Przez całe trzy miesiące dolina była w chmurach i wilgotnej ciemnicy — ciągłe, nieustające ulewy, przerywane gradem piorunów. Kaplica Kala stała po większej części ponad chmurami i upłynął cały miesiąc, w ciągu którego Bhagat ani rąbka swej wsi nie dojrzał. Była ona okryta białą powłoką chmur, które zmieniając się ciągle, toczyły się jedne po drugich, wypierały się nawzajem, ale nie zmieniały swego koryta, rozmokłych ścian doliny.

Przez cały ten czas nie słyszał nic, jak tylko odgłos milionów strumieni wody, nad głową z drzew, pod stopami po ziemi; sączących ze szpilek sosen, ciekących wszystkimi języczkami zabrudzonej paproci a spływających świeżo wybitymi w glinie kanałami w dół stoków. Nareszcie ukazało się słońce i przyniosło ze sobą silną woń deodarów, rododendronów wraz z tą lekką, nieuchwytną wonią, którą lud gór zwie „powiewem śniegów“. Gorące promienie paliły przez tydzień, poczem deszcze ponownie zebrały całą swoją siłę i woda lała się strugami, zdzierała twardą skorupę ziemi i wpadała, odbijając się o glinę.

Tej nocy Bhagat ułożył wysoki stos ognia, wiedział bowiem na pewno, iż „bracia“ jego będą potrzebowali ciepła; ale ani jedno zwierzę nie przyszło do kaplicy, pomimo, iż wołał i nawoływał, aż wycieńczony usnął, dziwiąc się, co też to mogło się w lasach wydarzyć.

Było to właśnie pośród czarnej nocy, deszcz bił jakby w tysiąc bębnów, kiedy Bhagata obudziło silne szarpnięcie derki; zerwawszy się, poczuł małą łapkę langura.

„Lepiej tu niż na drzewach, nieprawda?“ przemówił na wpół spiący, uchylając rąbka swojej kołdry. „Bierz i ogrzej się!“ Małpa jednak chwyciła jego rękę i szarpnęła mocno. „A więc to o jadło ci chodzi?“ rzekł Purun Bhagat. „Poczekaj chwilę a zaraz ci je przyrządzę“. Kiedy jednak przyklękał, by dorzucić ognia, langur pobiegł ku drzwiom kaplicy, jęknął i powrócił znów szarpiąc świętego męża kolano.

„Co to jest? Co cię tak niepokoi, bracie?“ zawołał Purun Bhagat, widząc oczy langura pełne wyrazu czegoś, czego wypowiedzieć nie umiał. „Chyba który z twego rodu wpadł w sieci — lecz nikt tu sieci nie zastawia — nie — w tę porę nie wyjdę! Ot, patrz, bracie, właśnie i barasingh szuka schronienia!“

Rzeczywiście rogi jelenia chrzęsnęły na progu kaplicy. Podniósł je w kierunku Purun Bhagata i bił nogami niecierpliwie, sapiąc przez swe na wpół przymknięte nozdrza. „Aj! aj!“ zawołał Bhagat klasnąwszy w palce, „czy to taka zapłata za nocleg?“ Lecz jeleń potrącał go ku drzwiom, a w tej chwili usłyszał Purun Bhagat odgłos, jak gdyby się coś rozwarło z westchnieniem i spostrzegł, jak dwie płyty podłogi rozsunęły się, a rozmokła ziemia mlasnęła z pod spodu swemi lepkiemi usty.

„Teraz widzę“ rzekł Purun Bhagat „nie wina to mych braci, iż tej nocy nie siedzieli przy ognisku. Góra osuwa się. A jednak — po co mam iść stąd?“ W tem spojrzał na misę a twarz jego przybrała inny wyraz“. „Przynosili mi co dnia dobre jadło, odkąd tu przyszedłem — jeśli się nie pospieszą, do rana nie będzie i jednej duszy w dolinie. Tak, muszę iść i ostrzedz tych tam w dole. Z drogi! bracia, pozwólcie mi dostać się do ogniska!“

Barasingh cofnął się niechętnie, a Purun Bhagat cisnął pochodnię głęboko w płomienie, obracając ją, póki się dobrze nie zajęła. „Ach! przyszliście mię ostrzedz“ wyrzekł powstając. „Ale zrobimy więcej dobrego. Naprzód więc! Tylko jeszcze użycz mi twego karku, bracie, gdyż widzisz, że mam tylko dwie nogi!“

I obejmując prawą ręką szorstkie wyrostki rogów barasingha, a lewą trzymając płonącą pochodnię, wyszedł Bhagat z kaplicy w tę noc nieszczęsną. Nie było nawet podmuchu wiatru, ale deszcz przytłumiał płomień pochodni, kiedy olbrzymie zwierzę schodziło ze stoków góry, ślizgając się na tylnych nogach. Jak tylko wyszli z lasu, przyłączało się coraz to więcej „braci“. Słyszał więc — bo widzieć nie mógł — langurów cisnących się za sobą, a za nimi mrukliwy głos Sony. Deszcz splątał w postronki jego długi włos biały, woda pluskała mu pod bosemi stopami, a żółta suknia obejmowała jego wynędzniałe stare członki; wsparty o barasingh'a postępował jednak w dół ciągle. Nie święty był to już, ale Sir Purun Dass, pierwszy minister niemałego państwa, człowiek przywykły do rozkazywania, idący ratować wieśniakom życie!

W dół więc stromej, oślizłej ścieżki zsuwali się powoli wszyscy razem, Bhagat i jego Bracia, coraz to niżej i niżej, aż jeleń potknął się, przystanął u brzegu toku i parsknął, zwietrzywszy człowieka. Właśnie byli u ujścia jednej z krętych uliczek wsi i Bhagat zapukał swą pałką w zamknięte okna domu kowala, podczas gdy jego pochodnia zapłonęła silniej pod ochroną dachu. „Wstawajcie i uchodźcie!“ krzyczał Purun Bhagat i sam własnego głosu nie poznał, gdyż lata upłynęły, odkąd nie wyrzekł głośno słowa do człowieka. „Góra się usuwa, góra się osunęła! Wstawajcie i uchodźcie wy wszyscy tam wewnątrz!“

„To nasz Bhagat“, zawołała żona kowala, „stoi w pośród swoich zwierząt. Zbieraj, co możesz i idź wołać na trwogę!“

Głos biegł od domu do domu, a zwierzęta zbite w ciasnej uliczce cisnęły się i potrącały w około Bhagata; Sona sapał niecierpliwie.

Ludzie spieszyli w ulicę — nie było ich wszystkich razem, jak siedmdziesiąt dusz — a przy płomieniu swych pochodni zobaczyli Bhagata, jak powstrzymywał straszliwego barasingh'a, podczas gdy małpy nielitościwie szarpały kraj jego sukni, a Sona przysiadł na swych tylnych łapach i mruczał.

„Przez dolinę i na najbliższe wzgórze!“ krzyknął Purun Bhagat, „nie zostawić nikogo! My idziemy za wami“.

Biegli więc ludzie, a biegli tak, jak tylko lud górski biedz potrafi, wiedzieli bowiem, że muszą dotrzeć do najwyższego punktu po drugiej stronie doliny, zanim się góra osunie. Cali przemoknięci uciekali przez rzeczkę w dole i pola terasowate w górę, podczas gdy Bhagat i jego towarzysze szli za nimi. Coraz wyżej i wyżej wspinali się, nawołując się nawzajem, a u ich stóp postępował z trudem olbrzymi barasingh dźwigając coraz to więcej ze sił opadającego Purun Bhagat'a. Nareszcie zwierzę przystanęło w cieniu gęstego sosnowego lasu wysoko na stoku góry. Ten sam instynkt, który ostrzegł je o mającem nastąpić usuwaniu się góry, powiedział mu teraz, iż tu może być bezpiecznem.

Purun Bhagat osunął się omdlały przy jego boku, gdyż wilgotne zimno i to gwałtowne wspinanie się do

góry zabijało go, ale pierwej zawołał na ludzi z pochodniami na przodzie: „Stójcie i porachujcie się“, a widząc pochodnie gromadzące się w jeden zbity tłum, szeptem do jelenia: „Zostań, Bracie, ze mną — zostań — aż — odejdę.“

Wtem w powietrzu dało się słyszeć westchnienie, a to westchnienie przeszło w szmer, a szmer, w szum — szum, który przechodził wszelkie pojęcie zmysłu słuchu, a stok góry, na którym stali mieszkańcy wsi, objęty nagle został ciemnością i zatrząsł się od uderzenia. Potem jeden, jedyny ton, tak silny, niski i tak prawdziwy, jak niskie C organu ogłuszył wszystko na długą chwilę, a sosny zatrzęsły się od niego, aż do korzeni. I przeszedł — a odgłos deszczu, padającego milami na twardy grunt i trawy, przemienił się w stłumiony szmer wody, płynącej po miękkiej ziemi. Ten śpiewał swą własną piosenkę.

Żaden z wieśniaków, nawet kapłan nie miał odwagi przemówić do tego, który ocalił ich życie. Skuleni pod sosnami czekali dnia. Z pierwszym brzaskiem spojrzeli w dolinę — wszystko, co było przedtem lasem, terasami, polami, pastwistkiem, stało się teraz jedną surową, czerwoną, niby wachlarz szeroko rozciągniętą masą z kilkoma drzewami, wysterczającemi z rozpadlin korzeniem do góry. Ta czerwoność dochodziła, aż do miejsca ich schronienia, wypierając z łożyska rzeczkę, która teraz zlewała się w jedno, ceglastego koloru, jezioro. Z wioski, z drogi prowadzącej do kaplicy, z kaplicy samej i lasu poza nią nie pozostało ni śladu. Cały jeden stok na milę długości i dwa tysiące stóp głębokości osunął się i wygładził od wierzchołka do dołu całkowicie.

A mieszkańcy wsi jeden za drugim czołgali się lasem, aby się pomodlić do swego Bhagat'a. Widzieli barasingh'a stojącego nad nim, lecz ten uciekał za ich zbliżeniem się i słyszeli langurów zawodzących po gałęziach i Sonę jęczącego na górze, ale ich Bhagat, choć siedział ze skrzyżowanemi nogami, ze swoim dzbanem pod pachą i twarzą zwróconą ku północnemu wschodowi — już nie żył.



Sprawy Towarzystwa.

W myśl ustawy Walnego Zgromadzenia z d. 30 czerwca 1899 i uchwały Wydziału Towarzystwa z d. 8. stycznia 1900 wniósł Wydział Towarzystwa dwie petycye do Sejmu w sprawie zmiany § 41 i 84 ust. łow. W petycyi pierwszej podano następujące powody zniesieniem § 41 w tej formie, w jednej on obecnie w ustawie figuruje:

1. Zakaz polowania we święta nie wytępi tego, co Niemiec nazywa „Sonntagsjaegerem“, bo strzelacz zostanie strzelaczem bez względu na to, czy strzelbę dzierzy w dzień powszedni czy świąteczny, spowoduje zaś stanowczo upadek towarzystw myśliwskich, złożonych ze zwolenników prawidłowego polowania a przyczyni się do wzmożenia się kłusownictwa i, co za tem idzie, do upadku gospodarstwa łowieckiego w całym kraju, tudzież do rozgoryczenia ludzi sfery wyżej wspomnianej z powodu pozbawienia ich należnych im praw.

2. Zakaz ten grozi ogromnem zmniejszeniem się dodochodów gmin, przeważnie wiejskich, z tytułu odpadnięcia czynszu za wydzierżawienie prawa polowania, a zaznaczyć należy, że w obecnej dobie czynsze te wzmogły się w stosunku do czynszów z przed 25 laty co najmniej dziesięciokrotnie!

3. Odpadnie w zupełności dochód ludu w porze jesiennej i zimowej, w którym to czasie w wielu okolicach zwłaszcza górskich, gdzie gospodarstwa rolne i folwarki nie egzystują — w dni powszednie zarobku dla wszystkich nie ma, a dotychczas z powodu polowań w niedziele i święta dochód wynoszący po 2 złr. 50 ct. za podwody, po 40 ct. zaś dla nagonki, stanowił cały zarobek tygodniowy na sól, omastę i naftę dla tych biedaków.

4. Odpada dochód za karty myśliwskie, kilkanaście tysięcy rocznie.

Że żądanie pewnej części myśliwych, aby wolno było polować w niedziele jest słusznem, najlepszym dowodem to, że w czasie rozpraw nad tym przedmiotem, na zgromadzeniach członków podpisanego Towarzystwa, nie odezwał się ani jeden głos za zachowaniem tego paragrafu w obecnem jego brzmieniu, pomimo tego, że Towarzystwo łowieckie składa się w znacznej większości z ludzi, którzy mogą wykonywać myśliwstwo w dnie powszednie i którzy rzeczywiście z całą bezstronnością sprawę słuszną swoimi glosami poparli.

Opierając się na tem, upraszał Wydział Sejm, aby §. 41. ustawy łowieckiej zechciał zmienić w sposób, któryby umożebnił znacznej części myśliwych wykonywanie łowiectwa, a mianowicie, aby paragraf ten opiewał:

„W niedziele i święta uroczyste tego wyznania i „obrządku, jaki wyznaje większość ludności zamieszkują„cej miejscowość, o którą chodzi, zakazanem jest polować „z nagonką podczas nabożeństwa rannego. Polowanie „z wyżłem, tudzież na drapieżniki jest dozwolone“.

Drugą petycyę wnieśliśmy w sprawie udzielenia na cele podniesienia łowiectwa w kraju części funduszów, uzyskanych z opłat za karty łowieckie. Wydział umotywował tę prośbę jak następuje:

§. 84. obecnej ustawy łowieckiej wprowadza karty myśliwskie, za opłatą 10 koron rocznie. Wobec tego, że do opłacania należytości za karty zgłasza się w zasadzie tylko porządny myśliwy, opodatkowanie to na nasze stosunki dosyć wysokie, trafiło podobnie jak postanowienie

§. 41. właśnie tę część miłośników łowiectwa, która już i tak znaczne, na utrzymanie odpowiedniego stanu zwierzyny i na opiekę nad nią, ponosi wydatki. Z kartami jednak myśliwskiemi zgodził się ogół myśliwych, jako z faktem dokonanym; pozwoliliśmy sobie jednak zwrócić uwagę Sejmu, że fundusze z nich uzyskane, na podstawie własności powinny być użyte przynajmniej w części na podniesienie łowiectwa w kraju. Jeżeliby Wysoki Sejm nie uczynił prośbie naszej, jaką poniżej sformułowaliśmy zadość, w takim razie, odbierając tym właśnie kołom łowieckim, które i tak dosyć już ofiar w sprawie podniesienia łowiectwa krajowego ponoszą, część środków do dalszej pracy w tym kierunku, nakładałby niejako hamulec na jego dalszy rozwój.

Jeżeli bowiem siostrzyca łowiectwa, rybołostwo, doznaje opieki rządu i kraju, ma własne subwencyjne fundusze, które idą na jego podniesienie, byłoby zatem rzeczą zupełnie słuszną i racyonalną, gdyby podatek od myśliwych ściągany, użyty został na właściwe cele. Prosiliśmy więc gorąco Sejm, aby raczył § 84 uzupełnić następującym postanowieniem:

„Wydział krajowy połowę dochodu, z tych „opłat uzyskanego, przeznaczać ma na podnie-„sienie gospodarstwa łowieckiego, jako czę-„ści kultury krajowej".

Gdy zaś Wydział krajowy sam pracą koło podniesienia kultury łowieckiej zajmować się nie może, upraszaliśmy o polecenie Wydziałowi krajowemu, aby przeznaczoną w § 84 kwotę na podniesienie gospodarstwa łowieckiego użył na właściwy cel w porozumieniu z Wydziałem galicyjskiego Towarzystwa łowieckiego we Lwowie, jego delegatami powiatowymi i prezesami najpoważniejszych Towarzystw myśliwskich.

Celem tego polecenia, byłoby obmyślenie praktycznego sposobu akcyi, zmierzającej usilnie do tego, aby ta gałęź gospodarstwa krajowego (łowiectwo) mogła stać się rychło — jak w sąsiednich krajach koronnych monarchii, znacznem źródłem dochodu i dobrobytu powszechnego.

Gal. Tow. łowieckie z góry się zastrzegło, że na własne administracyjne cele, ani na cele swojego wydawnictwa z pomienionego funduszu ani grosza nie pożąda. Posłannictwo Gal. Tow. łowieckiego spełniają jego członkowie dla tej rycerskiej i wysoko przez siebie cenionej idei własnymi funduszami i gorliwem spełnianiem obowiązków nałożonych ustawą.

Fundusze z § 84 byłyby użyte na sprowadzanie żywego rozpłodowego materyału, na wynagradzanie straży łowieckiej za opiekę nad zwierzyną, na racyonalne żywienie zwierzyny, na tępienie drapieżników, chwytanie kłusowników i prześladowanie niesumiennych handlarzy zwierzyny — słowem na podjęcie akcyi w wielkim stylu, na co nasze Towarzystwo samo gotowe jest dużo łożyć, ale podołać wszystkim wymaganiom nie może.

Akcya ta należy do funduszu krajowego.

Z dochodów, ściągniętych od myśliwych, z krzywdą dla tej ubogiej gałęzi gospodarstwa łowieckiego z racyi wyżej podniesionej, należy się co najmniej ich połowa na inwestycye i na popieranie i zachęcanie do ogólnej akcyi wszystkich czynników, którym opieka nad łowiectwem ustawą jest nakazaną. Na dowód, jakie zachęcenie takie do racyonalnego ogólnego zaopiekowania się zwierzyną może przynieść skutki, pozwoliliśmy sobie zwrócić uwagę Sejmu na daty statystyczne, podane w „Łowcu", a porównywujące stan zwierzyny w Galicyi i w krajach zachodnich, z których okazuje się, jak daleko pozostajemy w tyle co do rozwoju tej części gospodarstwa krajowego.

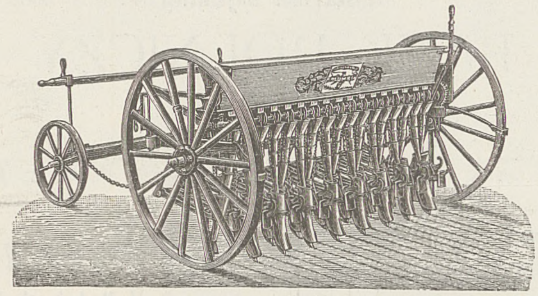
Obie petycye, wniesione przez prezesa Towarzystwa, JE. hr. Romana Potockiego, podane były wczas, tak, że mogły być na tem posiedzeniu sejmowem załatwione. Co do ostatniej petycyi, to los jej był odrazu rozstrzygnięty z powodu smutnego stanu budżetu krajowego. Mamy nadzieję jednak, że gdy stan ten się poprawi, petycya ta wznowiona, pomyślny skutek odniesie. Nad petycyą pierwszą obradowała komisya administracyjna dwukrotnie a referent jej, JE. Adam Jędrzejowicz, zredagował sprawozdanie, kończąc, o ile nam wiadomo wnioskiem, aby w niedziele i święta wolno było wykonywać polowanie z wyjątkiem polowań z nagonką. Sprawozdanie to wraz z wieloma innemi nie przyszło pod obrady Izby.

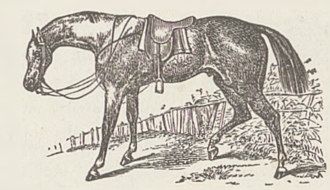
†

J. E. Hr. Szczęsny Bolesta Koziebrodzki, c. k. tajny radca i podkomorzy, poseł sejmowy, b. długoletni prezes rady powiatowej skałackiej, nestor ziemi podolskiej. Że ś. p. hr. Koziebrodzki, zeszła do grobu jedna z najczcigodniejszych postaci, jeden z najwierniejszych synów kraju.

Jan Obertyński, długoletni członek naszego Towarzystwa, jeden z reprezentantów odznaczającej się miłością kraju i tężyzną w najlepszem tego słowa znaczeniu rodziny, zmarł w majątku swoim, Odnowie, po długotrwałej chorobie.

Cześć ich pamięci!





Wydawnictwo gal. Tow. łowieckiego. Redakcya: Lwów, ul. Karola Ludwika l. 1. Redaktor odpowiedzialny: **Edmund Kolbuszowski.**
Z drukarni „Słowa Polskiego“ we Lwowie — pod zarządem Z. Hałacińskiego.